

## **Spalmy przywódców i mistrzów!**

### **Krakowski festiwal teatralny pokazuje Polskę w czyścicu.**

Renate Klett

„Frankfurter Allgemeine Zeitung”

23. 12. 2010

Festiwal nazywa się „Boska Komedia” i w związku z tym zbudowany jest z trzech części: w ramach Inferno pokazywane są przedstawienia konkursowe, w Paradiso młode talenty, a Purgatorio obejmuje całą resztę, w sumie trzydzieści wydarzeń. Odbywają się dantejskie rozmowy, trwają boskie chwile (czyli imprezy). Publiczność jest młoda i przychodzi tłumnie. Bartosz Szydłowski, dyrektor Teatru Łażnia Nowa na przemysłowych przedmieściach Krakowa, przed trzema laty powołał do życia festiwal „Boska Komedia” i prowadzi go z takim sukcesem, że zaangażowana w pokazy jest większość krakowskich scen. Program jest interesujący, a Kraków zimą przepiękny. I jeżeli komuś się uda, mimo chaosu wywołanego śnieżną pogodą, dotrzeć na tę największą prezentację polskiego teatru, to może czuć się wyróżnionym.

Pierwszym przedstawieniem w czyścicu jest „Koniec” Krzysztofa Warlikowskiego. Kolaż tekstów Kafki, Koltèsa, Coetzee zmienia się w przepelnione winą sceniczne requiem o pragnieniu, prześladowaniu i tęsknocie. Spektakl nie opowiada historii, lecz raczej opisuje stan. Zagubiony syn, identyfikując się z Józefem K., Myśliwym Grakchusem i Elisabeth Costello pokazuje swoje życie naznaczone wymuszoną bliskością i ukaranym szczęściem. Oczekiwani „sekretarze niewidzialnego” uciekają przed spojrzeniami, a bramkarze zamkniętych wrót do prawa, do życia i do śmierci w nieskończoność potęgują strach i poczucie winy.

Jak w filmach Davida Lyncha obrazy powoli tworzą się w tajemniczej atmosferze, prowadząc sprawców i ofiary ku symbiozie bez wyjścia. Sceniczna równowaga podtrzymywana przez intensywność aktorstwa i spokojny potok zdjęć jest zachwiana przez filmowane na żywo i pokazywane w dużym powiększeniu twarze i gesty. Najpóźniej gdy Costello, zagrana przez cudowną Ewę Dałkowską, w zmartwychwstających żabkach znad australijskiej rzeki Dulgannon znajduje swój pogański dowód na istnienie Boga, widz zostaje wessany przez spektakl. Dla dusz w czyścicu pewne jest jedno: ratunku nie będzie, a koniec i to, co po nim, może być tylko piekielne. I nie chodzi tutaj bez wątpienia o festiwalowy konkurs.

Fakt, że Warlikowski nie bierze w nim udziału nie jest związany z symboliką, ale datą premiery po przewidzianym terminie. Rywalizują za to Krystian Lupa, Jerzy Jarocki, Jan Klata i sześciu młodszych reżyserów. Jarocki, który w 1965 roku po raz pierwszy wystawił znane na całym świecie „Tango” Mrożka na nowo wyreżyserował tę sztukę w warszawskim Teatrze Narodowym, co potwierdziło dawną teatralną zasadę, że nic nie jest bardziej zakurzone niż miniona nowoczesność. Także metafizyczne „Wesele hrabiego Orgaza” Jana Klaty (Stary Teatr Kraków) ma w sobie mimo szybkości i jaskrawości coś staroświeckiego. Obfitość pomysłów reżysera nie wystarcza w konfrontacji z tekstem, który przez całe trzygodzinne przedstawienie opisuje odwieczną walkę między Zbawicielem i Antychrystem.

Nowe głosy brzmią raczej z mniejszych teatrów z Olsztyna, Bydgoszczy, Opola i Wałbrzycha. Szczególnie ośrodek z Wałbrzycha cieszy się świetną opinią i produkuje cenione sztuki, między innymi zwycięski spektakl tegorocznego konkursu. Nazywa się on „Był sobie Andrzej, Andrzej, Andrzej i Andrzej” i jest zarówno gniewnym, jak i dziwnym rozrachunkiem z kulturalnym establishmentem w Polsce. Duo Monika Strzępka (reżyserka) i Paweł Demirski (autor) gościło kiedyś ze spektaklem w Warszawie, z którego Andrzej Wajda wyszedł przed zakończeniem. W swoim nowym przedstawieniu twórcy mszczą się za ten incydent, sytuując akcję na pogrzebie Wajdy. Wszyscy – którzy powinni – się na nim pojawiają i wszyscy zostaną skrytykowani.

Ciosy rozdawane są w każdym kierunku, a całość przypomina mieszankę kabaretu i teatru. Przedstawienie jest zrealizowane z pazurem, fantastycznie zagrane i w takim kraju jak Polska, który swoje ikony wewnątrznie czci i nie chce oglądać przybrudzonymi – zdecydowanie prowokacyjne. Równocześnie ten sceniczny popis gniewu naładowany jest humorem: złych recenzji się nie czyta, patetyczne wyznania zostają ośmieszane, a pluszowe misie obrzucają obelgami lawirantów za ich zdolności przystosowawcze. Wyśmiana jest także „pani Bausch”, nie wiadomo wprawdzie za co, ale ostatecznie należy ona do „klasy mistrzowskiej”, do której inni też chętnie by się chcieli załapać. Być może przyznana nagroda jest równie dla twórców spektaklu pierwszym krokiem w tym kierunku.

Poza konkursem, w raj, zainteresowanie budziła inscenizacja „Noży w kurach” Davida Harrowera w interpretacji Weroniki Szczawińskiej. Reżyserka tworzy dla swoich trzech aktorów wyjątkowy język ciała i pisemnego przesłania. W składanej dekoracji ukrytych jest wiele szufladek i drzwi. Zamknięty świat zostaje podziurawiony gdy się na nim pisze, a figury rosą, w chwili przejścia od innych ruchów, liter i żądy. Jest to radykalna, ale precyzyjna interpretacja tekstu Harrowera, w której myślenie i czucie zostają pokazane

jako procesy fizyczne. Trwający sześćdziesiąt minut spektakl jest najkrótszym przedstawieniem festiwalu, pozostałe trwają po trzy godziny, część z nich nawet dłuższej. Inną cechą wspólną jest wprowadzenie kamer, często użytych niezgrabnie, a także operowanie nagością – u Lupy dosłownie, w innych przypadkach aktorzy grają w samej bieliźnie.

Fakt, że akurat Lupa prezentuje gołego mężczyznę zaskakuje o tyle – a może właśnie świadczy o konsekwencji – że „Persona. Ciało Simone” jest najbardziej uduchowionym spektaklem tej „Boskiej Komedii”. To filozoficzny dyskurs o teatrze i życiu, związku między aktorem i reżyserem, ciele i duszy, Simone Weil i jej dziele. Początkowo przedstawienie pomyślane jako przeciwwaga dla spektaklu „Persona. Marilyn”, stało się dla Lupy apogeum i punktem końcowym zapoczątkowanej przez „Faktory 2” (Andy Warhol) trylogii.

Jest to wizja gdzieś pomiędzy dniem i snem, sugestywna, a zarazem w prosty sposób wyjątkowo skomplikowana, jak wszystkie najlepsze inscenizacje Lupy. Zbudowana została w wyrafinowany sposób i rozgrywa się na trzech wzajemnie powiązanych poziomach. Reżyser Andrzej Szeremeta i jego zachwycająca aktorka Małgorzata Braunek namiętnie dyskutują o osobie i filozofii Simone Weil, zarówno na scenie, jak i w krótkich filmach z prób. Potem jest zainscenizowana próba bez reżysera, która kręcona jest na żywo, a na koniec fikcyjne spotkanie aktorki Elżbiety z Simone. Gdy nagle wideo przestaje działać, a Lupa opuszcza salę, nadal ma się wrażenie, że wszystko jest ustawione. Tak jednak nie jest. Zdarzyła się prawdziwa wpadka. W sumie szkoda, bo takie nagłe nastanie rzeczywistości mogłoby po raz kolejny złamać opowiadaną historię.

Aby z tych wszystkich warstw wyobraźni i raczej suchego materiału stworzyć równie intensywny i wstrząsający wieczór trzeba być takim teatralnym mistrzem jak Krystian Lupa i pracować z doskonałymi aktorami. Szorstkie dyskusje o oddaniu i o tym, co czeka po tamtej stronie, pokorze i spełnieniu, męskich fantazjach i psychologicznej manipulacji przekazywane są w sposób równie elokwentny, co zmysłowy. Marzenie Weil o nawróceniu i nauce głoszonej przez ziemskiego mesjasza zdaje się być satyrą w wykonaniu inteligentnych ekscentryków. Także to przedstawienie można rozpatrywać chronologicznie jak nastające po sobie piekło, czyściec i niebo. Inaczej niż Warlikowski, jego nauczyciel pozwala swoim bohaterom na zbawienie w cichych, nocnych rozmowach.

Tylko aktorom reżyser go odmawia, przeciwko czemu wymownie zaprotestowała artystka wcielająca się podczas premiery w rolę Simone pokazując nagie pośladki i gest „Heil Hitler”.